

Na czatach

dla Davida Toscany

Za każdym razem kiedy kropla potu skapuje z rzęs, zanim jeszcze sól zacznie szczypać, Bosco potrząsa głową, jakby ciągle na nowo odmawiał, by podjąć się zadania. Nie, stary. Nie zrobię tego. Nie dam rady. Od dwudziestu lat nie może znaleźć dobrego powodu do zemsty. Lepiej zostawić te sprawy po staremu. Żyjmy w pokoju. Kiedy kropla nie daje za wygraną i ześlizguje się na czubek nosa, on na chwilę puszcza strzelbę, ściera szponiastymi palcami wilgoć z twarzy i patrzy na ulicę. Sierpniowy upał osacza go ze wszystkich stron i potęguje nerwowość. Bosco podrywa się na każdy dźwięk. Ciężarna kotka, która chwilę temu przemknęła dwa metry od jego kryjówki, być może przeszukując worki ze śmiecia-
mi w nadziei na coś do zjedzenia, sprawiła, że serce zaczęło mu walić jak szalone, i Bosco miał wrażenie, że od tego tęt-
nienia rozboleły go żebra. Wielogodzinne czekanie to tortu-
ra dla jego mięśni, ale największe cierpienia mają charakter duchowy: nawet kiedy tu siedzi, z bronią, na czatach, cała wola mówi mu, żeby nie strzelał do Ángela.

Musisz go zabić, kiedy tylko wróci do domu. To będzie o zmierzchu, powiedziała matka z nieobecną miną, ale ton jej głosu nie dopuszczał żadnej odpowiedzi. Dziś kończy się nasza udręka, synu. To najważniejszy dzień twojego życia. Najważniejszy. Tak mu powiedziała. Gdy wspomina te słowa, za plecami słyszy drapanie pazurów o drewno i aż odruchowo zaciska dłoń na lufie. Znowu ta kotka. Albo opos. Cholerne zwierzęta. Kieruje wylot strzelby ku ziemi, bo z tych nerwów o mało nie wypalił w drzwi pani Ruth. Przeklęty upał. Znow spogląda na ulicę i wyciera twarz. Ciągłe się poci, choć czuje, że stopy ma zimne, jakby krew z nich odpłynęła. To będzie wymagało więcej cierpliwości i więcej odwagi, niż dotąd musiałeś wykazać, synu. Ale trzeba to zrobić. Tylko w ten sposób twój ojciec i twój brat Jacobo będą mogli zaznać spokoju w grobie. Twój tato, niech spoczywa w pokoju, od lat marzył o tym dniu. Teraz masz szansę zrobić to dla niego i uczynić zadość sprawiedliwości. Matczyne słowa krążą mu

po głowie, oszalałamią, na chwilę rozmazuje się widok domu pani Ruth.

Noc zapadła nad dzielnicą chwilę wcześniej. Bosco trwał nieruchomo w swoim punkcie obserwacyjnym, chroniony cieniem jadalni i innych krzewów, których nie umiał nazwać, i patrzył, jak powietrze niechętnie mętnieje o zachodzie słońca, nabiera koloru ochry, a światła ulicznych latarni przecinają mrok, rzucając na ziemię żółte trójkąty rozmieszczone w równych odległościach. Jakies pół godziny po zniknięciu słońca pani Ruth dotarła do domu obciążona dwiema wypchanymi torbami z supermarketu. To na pewno na powitalną kolację dla syna marnotrawnego, pomyślał Bosco, przyglądając się, jak staruszka stawia zakupy na progu i uwolnioną dłonią wyciąga klucz z torebki, po czym otwiera drzwi. Następnie zapaliło się światło w kuchni. I zaraz potem w pokoju Ángela. Chce, żeby był tam porządek, tak czysto, jakby tamten nie spędził dwudziestu lat gdzieś daleko.

Bosco zna wnętrze domu na pamięć. W innych czasach całe popołudnia spędzał w pokoju Ángela – z Jacobem lub bez niego. To tam grali w karty, czytali czasopisma, słuchali płyt, oglądali telewizję albo godzinami rozmawiali o dziewczynach z dzielnicy, o ostatnich meczach Tygrysów albo o wypadach nad rzekę, po drugiej stronie wzgórze – aż do chwili, kiedy rozlegał się chrzęst klucza pani Ruth w zamku drzwi. Słyszał było trzaśnięcie drzwiami, potem brzęk patelni i naczyń, a w końcu docierał do nich zapach, od którego ciekła ślinka, dowód krzątania w kuchni, która kończyła się dopiero wezwaniem na kolację. A pani Ruth nieźle gotuje. Tego się nie zapomina. Ciekawe, co mu tam upichci. Działo się to jednak wiele lat temu, a pani Ruth odnosiła się do niego jeszcze z matczyną poufałością i kiedy się spotykali, gładziła go po policzku i nasypywała mu czekoladek do kieszeni, wtedy jeszcze Ángel i Jacobo byli nierozłączni, a Bosco uważał ich za bohaterów, chciał być taki jak oni, albo żeby przynajmniej dopuszczali go do swoich przygód.

Komar wybzykuje złośliwą melodyjkę tuż przy jego uchu. Bosco odpędza go machnięciem dłoni. Obmacuje sobie wilgotną szyję i sprawdza, czy ma tam ślad po ukąszeniu. Dom pani Ruth majaczy blado w duchocie letniej nocy, stoi samotny między opuszczonym ogrodem a parcelami, których

nikt nie kupił. Odkąd Bosco był dzieckiem, przy tym skrzyżowaniu stały tylko cztery domy, to bardzo blisko krańca miasta. Gdzie indziej miasto zmienia się nie do poznania co parę tygodni. Dlaczego tu jest inaczej? Wszystko wydaje się takie samo jak dwadzieścia lat temu: śmierć Jacoba zatrzymała upływ czasu. Jakieś powłóczyście kroki na chodniku od strony alei budzą jego czujność. Bosco zaciska dłoń na broni i celuje w stronę wylotu ulicy. Bardzo chce mu się palić. Przez chwilę myśli o papierosach i zapalniczce, które spoczywają w kieszeni, ale obraz Ángela, Jacoba i jego samego, bardzo młodych, jeszcze niemal dzieci, jak bawią się przy tej ulicy, zasiewa w nim wątpliwość. Do tej chwili nie przyszło mu do głowy, że Ángel mógł się przecież spotkać z jakimś kolegą z dawnych czasów, który postanowił odprowadzić go pod dom. Jeśli tak, to co – mam zabić obu? Bo w sumie skoro tak to ma wyglądać, jaka to różnica – jeden czy dwaj. Cholera, muszę zapalić. Ten ktoś, kogo kroki słysząc, wyłania się z mroku, wchodzi w pole światła latarni i Bosco wypuszcza powietrze z płuc, rozluźnia trochę mięśnie. To nauczyciel z podstawówki, mieszka trzy przecznice wyżej, gdzie dzielnica wspina się na wzgórze, obok domu Nidii. Kiedy ten nieszczęśnik się pojawi? Niedługo braknie mi sił. No bo...

Wspomnienie Nidii sprawia, że zdanie w jego myślach nagle się urywa. Nidia. Puszczalska. Czarna wdowa po Jacobie. Tak ją nazywają tutejsi. Co myśli o powrocie Ángela? Choć nie była winna, zabójstwo Jacoba sprawiło, że z wiernej narzeczonej stała się kobietą fatalną, krążyły nawet plotki, że to ona była przyczyną całego nieszczęścia. Miasto jest duże, dlaczego nie znajdzie sobie innego domu? Przez wzgląd na pamięć mojego brata? Wiele razy Bosco zadawał sobie to pytanie, gdy patrzył, jak Nidia idzie poboczem, cała na czarno, z opuszczoną głową, jakby zawstydzona, że żyje, a mężczynna, którego miała poślubić, nie. A ja, dlaczego ja się stąd nie wyniosłem?, zastanawia się teraz. Zamiast szukać odpowiedzi, wspomina upokorzenia, jakie musiała ścierpieć Nidia. Koledzy jego brata, zwłaszcza w pierwszych miesiącach, wyzywali ją na ulicy. Niektóre kobiety były jeszcze bardziej agresywne i pluły jej pod nogi. Jedna mężatka nawet – zdaniem niektórych kochanka Jacoba – rzuciła się na nią

kiedyś i wyrwała jej kilka kosmyków włosów, wrzeszcząc: Diabelska dziwka, to przez twoją niewierność go zabili.

A to twoja wina, mamó. Bosco dostaje gęsiej skórki na rękach, bo znów słyszy drapanie o drewno. To ty rozpuszczałaś te pogłoski. Coś podejrzewałaś, czy naprawdę wierzysz, że to przez nią? Powtarzałaś tę wersję, żeby mnie chronić? Cholerny upał. Od ciężaru wątpliwości drętwieją mu uda. Zmienia pozycję w kryjówce, klęka i kiedy pośladki opierają się o obcasy butów, dreszcz ulgi przebiega całe ciało. Świerszcze hałasują z czterech stron świata. Rytmiczny przerywany śpiew ptaka dolatuje z miejsca, gdzie nieużytki zbiegają się z ulicą. Bosco przymyka oczy na minutę, wystarczająco długo, by obraz rozgniewanego Jacoba w noc tamtej tragedii całkowicie wypełnił jego pamięć. Widzi twarz brata wykrzywioną z wściekłości, widzi go, jak wymachuje rękami, czuje znów na zdrętwiałym ciele jego ciosy, słyszy wyzwiska, jakimi tamten go zasypał, zanim – trzaskając drzwiami – wyszedł z ich wspólnego pokoju. Bosco czuje w gardle dławiącą gulę powietrza, brudną i twardą. W oczach pojawiają mu się łzy, podobne do tych sprzed dwudziestu lat, kiedy został sam w pokoju, ale szczur, który przemyka szybko pod jadalnym, sprawia, że budzi się jak ze złego snu. Kocia sylwetka też miga mu przed oczami. Gdy umilkły już odgłosy krótkiego starcia, któremu towarzyszył akompaniament wściekłych miauknięć i histerycznych piszków, Bosco zdał sobie sprawę, że stoi, nogi mu drżą, dyszy i mierzy ze strzelby w stronę kotki, która zdołała uciszyć swoją zdobycz. Cholera. To jest skuteczność. Niespodziewany atak i po sprawie. Mam zrobić to samo? Próbuje się uspokoić. Przygląda się po kolei wszystkim świetlistym trójkątom na ulicy, a następnie wbija wzrok w drzwi pani Ruth.

Spał. Pamięta to. Przez dwie dekady starał się uciekać przed scenami z tamtej nocy, a pomagały mu w tym rutyna i tytoń, ale teraz, kiedy nie może zapalić, nie jest w stanie ukryć się za dymną zasłoną przed wspomnieniami. Wyrzuty sumienia, strach przed tym, co się wydarzy, i żebra obolałe od ciosów brata sprawiały, że przez kilka godzin nie mógł spać, ale w końcu zmęczenie wzięło górę. Nad ranem zdawało mu się, że przez sen słyszy dzwonek do drzwi. Może Jacobo zapomniał kluczy, pomyślał. Potem kroki w przedpokoju; szuranie pantofli starego. Obudziły go krzyki matki: Nie! To

nieprawda! I przenikliwy płacz. To niemożliwe, Boże mój! Po-tem przesuwane meble, przedmioty roztrzaskujące się o ścia-ny i złorzeczenia starego, który obiecywał zemstę, w kółko i tak głośno, że nie słychać już było kobiecych szlochów. Skurwysyn! Zabiję go! Ja sam! Tymi rękami! Puśćcie go! Niech wyjdzie! Znajdę go na końcu świata! Kiedy zbudzony Bosco w końcu wstał z łóżka, zobaczył, że palą się wszystkie światła, a dom pełen jest ludzi. Dwóch mundurowych przytrzyma-owało starego, który z kuchennym nożem w dłoni, w bieliźnie i pantoflach, wyrwał się na zewnątrz. Jakaś kobieta gotowa-ła na kuchence wodę na herbatę. Sąsiad z naprzeciwka szukał flaszki brandy. Bosco patrzył na tych krzątających się ludzi i o nic nie pytał, ponieważ bał się odpowiedzi, którą w głębi duszy przeczuwał. Kiedy jednak stary go ujrzał, podszedł do niego z uroczystą miną i pałającymi oczami. Nie przytulił go, nie dotknął nawet. Powiedział tylko, jakby recytując li-nijki z odpowiedniego scenariusza: Zabili Jacoba. Ten bydlak Ángel zamordował twojego brata w kantynie. I dodał jakby na pocieszenie: Nie przejmuj się, synu. Pomścimy go. Tymi ręka-mi odbiorę życie chłystkowi.

Grupka chłopaków idzie ulicą, kopiąc piłkę. Bosco nie-ruchomieje. Przykuwa to uwagę kotki, która zaczyna mru-czeć. Nie widzi jej, wyobraża sobie tylko złoty blask jej śle-pi i gibką sylwetkę pochyloną nad zdobyczą, w którą wbija kły i pazury. Tamci z piłką coś krzyczą, Bosco nie rozumie. Śmieją się. Ćwiczą strzały na wyimaginowaną bramkę, pod-biegają i kopią piłkę, coraz głośniej. Głowa pani Ruth pojawia się w żółtym kwadracie okna. Wygląda, jakby się uśmiechała. Jeden z chłopaków macha do niej. Drugi coś mówi i Bosco rozpoznaje imię Ángela wśród wypowiedzianych słów. Oni też wiedzą. O niczym innym się nie mówi. Lepiej stąd zmy-wajcie, szczyble, bo jeszcze kulkę który zarobi. Patrzy, jak się oddalają, wciąż ćwicząc podania. Potem wstaje i przyglą-da im się z odległości. Najstarszy musi być w wieku Jacoba, kiedy umarł, dziewiętnaście lat; najmłodszy koło czterna-stu, tyle, ile liczył wtedy Bosco. Wyrzywa mu się westchnie-nie. Odwraca się w kierunku miejsca, gdzie kilka minut temu mignęły oczy kotki, i uśmiecha się ze smutkiem do czarnej pustki, wspominając, że tamtego dnia o świcie ani ojciec, ani matka nie umieli odpowiedzieć na pytanie, jakie im zadał. Jak

to – Ángel zabił mojego brata? Przecież chyba byli przyjaciółmi, nie? Dlaczego?

Jacobo i Ángel stali się bliskimi przyjaciółmi w szóstej klasie podstawówki, kiedy ich rodziny przeprowadziły się do tej dzielnicy na południu miasta, dopiero niedawno zagospodarowanej. Dzięki pracownikemu kredytowi policyjnemu ojciec Bosca mógł kupić dwuizbowe mieszkanie przy ulicy, na której były tylko dwie niezabudowane parcele. Natomiast pani Ruth zainwestowała wypłatę z ubezpieczenia na życie jej zmarłego męża w spory teren na krańcu miasta, pod wzgórzem, gdzie prawie nie było domów. Chłopcy poznali się w szkole. Z początku nie przypadli sobie do gustu, bo byli najwyżsi w klasie, najlepsi w piłkę i przyciągali najwięcej dziewczęcych spojrzeń. Ich rywalizacja doprowadziła do bijatyki po lekcjach; Bosco w dziecięcym zdumieniu patrzył, jak jego brat tłucze pięściami nieznanego chłopaka, a jednocześnie sam mocno obrywa w tej barbarzyńskiej awanturze, którą w pewnym momencie obaj uczestnicy uznali za zakończoną i uścisnęli się, mieszając swoje łzy, krew i pot.

Od tego dnia przez kolejne lata nigdy się nie rozstawali. Zostali przywódcami – najpierw w szkole, potem w całej dzielnicy. Organizowali wycieczki na wzgórze i nad rzekę, mecze piłki nożnej, szturmowały dziewczyny, a Bosco ciągnął się za nimi, podziwiając ich bezgranicznie, naśladując ich pozy, ich sposób gry, ich celne zdania. Kiedy zaczęli dorastać, wszystko się zmieniło. Hormony buzowały w Jacobie, który randkował jednocześnie z kilkoma dziewczynami, natomiast Ángel, choć cieszył się równie wielkim uznaniem u płci przeciwnej, wolał trzymać się męskiego towarzystwa. To wtedy Bosco zbliżył się do niego. Czuł nawet zazdrość, kiedy Jacobo znów wysunął się na pierwszy plan i skupił na sobie uwagę Ángela. Brat najwyraźniej znudził się rolą casanovy. Ograniczył swoje miłosne zapędy do Nidii i do nocnych wizyt u dorosłych kobiet, jeśli mieszkały same, albo przedpołudniowych, jeśli miały męża i dzieci. Jacobo tak urządził sobie życie, że z Ángelem widywał się codziennie, a w ciągu miesięcy poprzedzających jego śmierć stali się znów nierozłączni. Jedyna różnica była taka, że teraz dopuszczali Bosca do swoich spraw.